

# Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 7.

Leszno, dnia 18. Sierpnia 1838.



Wodospad Renu pod Szafluą.

## Wspomnienia podróży, odbytej roku 1837 przez Annę Nak.....

(Ciąg dalszy.)

Ale owego dnia, w archiwach rodziny G. złotemi głoskami zapisanego, nie tak się na hautewilskim dziedzińcu działo; znikł cerber, nad zamkiem straż mający, czyli raczej równie jak my, armatnim hukiem zagłuszony, zamilknąć przed nim musiał: mnóstwo strojnych i niestrojnych kobiet, żołnierzy w rozlicznych mundurach prawie wszystkich wojsk Europy, włóścian, winiarzy i dzieci, napelniało przyległe ulice; ścisk i kurzawa nie nadto miłe tam wspólne oczekiwanie czyniły; żelazna krata i brama, aż do przybycia dziewcząt zamknięta, pusty brukowany czworokąt w przeczroczu przedstawiała; w jego zaś głębi pałac, z którego okien, nikt nie wyglądał, bo weselna biesiada dotąd jeszcze trwała. Cieszyliśmy się więc nadzieją i strzelaniem, aż przecie tak długie oczekiwanie i życzenia spełnione zostały; ponsowo ubrany z neapolitańskiej służby Szwajcar, dał znak

umówiony, brama się otworzyła; pięć armatek razem wystrzeliło, a ogrodnik hautewilski, w szerokich pantalonach i jasnego koloru spencerze, troszkę do Turka w komedyi podobny, z ogromnym bukietem czyli snopem z kwiatów, ukazał się na początku ulicy, poprzędzając dwadzieścia cztery dziewcząt, równo ubranych, w białych sukniach, czarnych gorsetach i czepkach, wstążkami zielonemi koloru kantonu swego przepasanych: niosły one upłot z kwiatów, tak długi, jak ich całe grono, i parami za swym naczelnikiem postępowały. Za tą procesją dopiero dozwolono nam wejść do świątyni, t. j. na dziedziniec zamkowy, a tam znalazłszy w jego kątach kilka wyprzężonych wolantków i kolasek, każdy z nas, jak mógł, na nie się wdrapał, ażeby mieć udział w widoku tak wspaniałej uroczystości. Ale niestety! ja biedna cudzoziemka, między furmanem i przełożnikiem na stopniu kolaski stojąca, mogłam do siebie przystosować ową dawnego filozofa zasadę: wiemy, że nic nie wiemy. Ja zaś widziałam, że nic nie widziałam, prócz bielszej od



innych sukni panny młodej, na pałacowym ganku i kilkudziesiąt kapeluszy, w powietrzu bujących za zdrowie młodej pary wysoko wyrzucanych. A skoro zaczęto mówić o tańcach na tych ostrych kamieniach i o winie, które miało być hojnie między ten tłum rozdawane, namówiłam towarzystwo nasze do powrotu, między smutne Villaru mury, które już tylko kilka godzin swęj gościnności udzielać mi miały.

Łzy, któreśmy wszyscy obficie, a to przy nieustającym huku nieznośnych wystrzałów, za naszym powrotem z tej wesołej widowni ronili, świadczą dostatecznie o zmiennych kolejach rodzinnego życia śmiertelnych.

Z widzenia ledwie znam tylko tych, którzy tak hucznie po szwajcarsku swoje obchodzili wesele, ale życzę im z głębi mojej duszy, aby się dla nich nigdy wesołe hautewilskiego salonu usposobienie nie zamieniło na rozdzierające serce sceny, w tymże samym czasie w Villard przez dzień cały odnawiane. Tam dwie nici młodego życia w jeden wątek przy radośnem ich rodzin przyzwoleniu na zawsze wplecione; tu trzech pokoleń rozłączenie, na długo, na zawsze może, w tymże samym dniu, o téż samej prawie godzinie, srogiem przeznaczeniem spełnione. Dwa tak sprzeczne życia ludzkiego wydarzenia, mogłyby służyć za przedmiot malarzowi, równie jak i poecie, ale nadto są prawdziwe, ażeby się nimi zając chcieli, bo sztuka woli tworzyć niesłyszane nigdy wypadki, jak naśladować prawdziwie zajmujące istotnego życia zdarzenia.

## VI.

Most w Fryburgu. Kolumna Morat.

Wodospad Renu w Szafuzie.

Szczęśliwy, kto przy wolnym czasie, dobrém zdrowiu i wzroku, a pełnej kieszeni, malowniczą Szwajcaryą zwiedzać może. Dla niego istnieją tęczobarwne Gründelwaldu lody, dla niego Oberland, kantony Małemi zwane, i ich prześliczne jeziora i góry, całą swą piękność zachowują. Jemu ona tak, jak każda z duchem wieku zgadzająca się dziewica, bogatemu kochankowi, w miarę jego hojności, swych wdzięków udziela. Dla mnie zaś, pozbawionej po części, albo nawet ze wszystkiem, tych tak nieodzownych warunków do podróży w tym kraju, odkryła ona tylko niektóre, z tysięcznych skarbów swego położenia, których chwilowo w przejeździe nagromadzone wrażenia w pamięci mojej jednak na zawsze pozostaną.

Pomijam więc wszystkie te miasta i okolice, w których albo bardzo krótko, albo wcale się zatrzymać nie mogłam, i spieszę do Fryburga, gdzie czytelnika mego z podziwiającym pomnikiem przemysłu 19go wieku obeznać, a sobie samęj miłe o nim wspomnienie odnowić pragnę. To miasto, pomimo swego malowniczego nad rzeką Sariną położenia, wspaniałych i wdzięcznych organów w katedrze, powszechnie podzi-

wianych i innych przyjemności, do których jeden z najwytworniejszych hotelów (Duc de Zähringen) liczyć się powinien, nie było tyle przez cudzoziemców uczęszczane, ile na to zasługiwało.

Droga z Bernu do Fryburga wiodąca, była nader, przez strojne brzegi Sariny, dla zbliżającego się do tego ostatniego miasta utrudzona; bo jego mury wznoszące się nad okrażającą je przepaścią, niedozwalały innemu przystępu do siebie, jak przez kręte nad nią drogi i kilka mostów, do przebycia trudnych; ale duch przedsiębiorczy naszego wieku, przełamał te zapory, usunął trudności, przydając grodowi temu nowego życia i wartości przez śmiałe wystawienie drócianego mostu. Twórcą jego był P. Chaley, inżynier francuzki; niepodobna dosyć pochwalić udzielić temu olbrzymiemu dziełu: ma on 825 stóp długości i jest nad biegiem rzeki o 148 stóp zawieszony; łańcuchy, na których wisi, są z drócianych nici, jedną linią szerokości mających, a tak grubo splatanych, że pięciociałowej grubości liny tworzą. Ta nadpowietrzna droga po raz pierwszy dla Fryburczyków w Paź. 1834 otwartą została, a odtąd przez ciekawych szwajcarskich i cudzoziemskich przybylców licznie jest odwiedzana. Koszta na wystawienie tak niepospolitego, przebiegłości ludzkiej dzieła, nie zdają mi się nadzwyczajne, wynoszą albowiem 600,000 franków, to jest milion złtp., które przez pobierane na nim myto, wkrótce opłaconemi będą. Postępując tak zwolna między niebem a ziemią, po wygodnych mostu tego chodnikach, mimowolnie niepewnym idzie się krokiem; jest on tak szeroki, że się bezpiecznie na nim dwa powozy minąć mogą; ale ja tylko głuchy tentent naszego koczka za nami słyżałam, i nikogo, prócz kilku pieszych, wraz zenną idących, na nim nie spostrzegłam. Łańcuchy, na których buja, są od drogi w otaczających ją skałach utwierdzone, od miasta zaś wpuszczono je w mury hotelu, do którego, przebywszy most, zajechaliśmy. \*) Tam z obszernego tarasu, marmurem wyłożonego, podziwiający ten utwór, daleko piękniejszy jeszcze, jak po nim idąc, się wydaje. O jakże zaszczytnego wspomnienia są godni ci ludzie, którzy zdolności swoje tak użytecznie na korzyść, a nie, jak to niestety! częściej się zdarza, na zgubę i wytepienie współbraci swoich obracają.

Inny wcale z istoty swęj i przeznaczenia, ale również wspomnienia godny jest pomnik z białego kamienia, kształtnie na zielonem błoni nad jeziorem Morat wznoszący się. Ta kolumna przy bitęj drodze, do miasta tegoż nazwiska wiodącej, odkryły widokrag na zyczne szwajcarskie pola, wyniesione miejsce nad wązko ciągnącym się jeziorem, i z daleka tylko zaciemniające niebo góry, wszystko to przecho-dniowi okazuje, że się na pobojowisku sławnęj

\*) Zobacz P. L. Rok. Hgi Nr. 27, str. 212.



w dziejach tego kraju bitwy Morat znajduje. Tam w prostej kostnicy, zewsząd otwartej, spoczywały przez cztery wieki, pokonanych Burgundczyków kości, przez ich zwycięzców tu złożone; a ci, którzy w owęj bitwie pamiętnej, nieprzeliczone zastępy Karola Śmiałego, męstwem i zgodnym wytrwaniem pokonali, nieuczciłi swych przeciwników nawet przyzwoitym pogrzebem, i nikt zaiste spodziewać się nie mógł, ażeby kiedykolwiek przyzwoita mogiła okryć je miała; ale ten, który przeszłością naszą, równie jak i przyszłością kieruje, dozwolił późnym potomkom tych zwyciężonych, ostatnią im oddać posługę. Kiedy Francuzi w 1793 r. Szwajcaryą zawojowawszy, do Morat doszli, jedna z ich brygad, tam właśnie przechodząca, z samych tylko Burgundczyków złożona, zebrawszy ze czią należną swych naddziadów szczałki, pochowała je, i zburzywszy kostnicę, na jej miejscu, przez osobliwą sprzecznosc, drzewo wolności zasadziła. Ale to, krócej, jak szwajcarskiej wżgardy pamiątka, na tej ziemi istnieć miało; godło 1793 roku wolności znikło, skoro tylko w Szwajcaryi spokojność przywróconą została, a prawy rząd wzniósł wtedy tę kolumnę, która długo zapewne i w więcej z oświatą wieku zgadzającym się sposobie, o owym dawnym, a tak dla Szwajcarów chwalebnem zdarzeniu, poświadczy.

Już więc ostatniem wspomnieniem pobytu mego w Szwajcaryi, to pismo uwieńczyć mi przychodzi. Szczętne i malownicze razem samego tylko przyrodzenia obrazy, ostatniego holdu mego przedmiotami będą. Mniemam więc, że godnie szereg piękności Szwajcaryi zakonczę, zamykając go opisaniem w Szafuzie wodospadu. Nie tu nie działała sztuka, przemysł, lub wieku oświata; większym też nad sztukę, przemysł i duch czasu, jest ten obraz wszechmocności Stwórcy, przez wszystkie wieki istniejący, który tyle przetrwał wielkości, i od lat tylu uciech i nieszczęść ludzkiego plemienia jest świadkiem; zarówno on pewnie Rzymian legiony, jak i udających się na konstancyjski sobór średnich wieków mocarzy, lub wędrownych Albionu bogaczów, jak i mnie mało znaczącą istotę w zadumienie wprawiał.

Przybyłam do Szafuzy, przy słotnej porze; ciemna noc zupełnie mi to miasto ukryła; nie mogę więc żadnego sobie o niem zrobić wyobrażenia. Dobrze atoli wypocznienie w hotelu pod okrętem, gdzie gościnnie, wygodnie i po umiarkowanej cenie, przyjął byłam, wkrótce mi utrudzenie dnia poprzedniego zapomnieć dało. Nazajutrz śliczny poranek ożywił we mnie już prawie wygasłą nadzieję, zwiedzenia sławnego wodospadu, a wsiadłszy do porządnego powozu, który w hotelu codziennie, na podróżnych zawołanie gotowy jest, udałam się przez śliczne wzgórzyste pola i zielone smugi, do tego, (jeżeli tak wyrzec mi wolno) arcydzieła przyro-

zenia, aby tam w najpiękniejszym jej stanowisku, ostatnie Szwajcaryi poświęcić chwilę.

Dojeżdżając do zamku Laufen, z kąd się pospolicie wodospadowi przypatruje, jest tam już bieg bocznej drogi, która do niego wiedzie, przez swe zakręty między skalami i gestwiną nader podróżnemu sprzyjający; bo lubo bardzo blisko Renu go prowadzi, ukrywa jednak przed nim, zieloną drzew rozłożystych zastoną, piękności później dopiero objawić mu się mające. Lubo o kilka kroków od wodospadu będąc, jeszcze go się nie widzi, już się nam jednak cała jego ogromność, straszny łoskotem objawia; spuszcza się na koniec po coraz zniżającej się drodze, a przez tysiączne po nad lasem kresłone ścieżki, dojeżdżamy na koniec aż do tego cudownego zjawiska. Wielki, w dawniejszych czasach zbudowany zamek, zdaje się nową nam do zwiedzenia wodospadu stawić tu przeszkodę, ale ta przez opłatę franka od osoby wkrótce usuniętą bywa. Malarz, w tej części zamku mieszkający, dozwala za tą opłatą wolnego przez swoje salę przechodu, a stopniowo ciekawosc i podziwienie podróżnych, wzmagając najprzód ich na najwyższą galeryę, potem do małej niżej znajdującej się altanki, a na koniec przez kręte i niegodziwe schódki, coraz niżej ogrodem, aż do samego wodospadu doprowadza.

Otóż jesteśmy na przeciw samej katarakty, i tutaj dopiero cały jej ogrom o istocie tego cudownego żywiołów igrzyska nas przekonywa. Całe koryto rzeki, szerszej jak nasz Bug przy swym wpływie do Wisły, wysokimi ścieśnione brzegami, jest tu coraz silniej przez znajdujące się na jego gruncie, różnej wielkości kamienie zatrzymywane, i już od niejakiego czasu, z trudnością się między nimi przebija; tutaj zaś, napotykając trzy ogromne skały, nad przepaścią wpośród rzeki sterczące, na trzy części się dzieli i wybuch swęj wody, w białą, wiecznie wytryskującą kolumnę zamieniając, groźnie szumi, wspaniałe słoneczne światło odbija i chłodzącą parą całą rosząc okolicę, wir swój w przepaści nieustannie zatracza, ażeby zwycięzko z niej wypływając, odwiecznie ludzkich pokoleń pasmo trwogą i podziwieniem przesysać. Na samym dole dopiero, kiedy już tylko wąła deska, wzdłuż skalistej położona ściana, od wszystko pochłaniającego wiru nas oddziela, tam dopiero mówię ani malarska sztuka, ani wzniósł poeta natchnienie, nie może wyobrazić tego, czego się istotnie doświadcza. Cała ta masa rzeki, przewyciężywszy wszelkie trudności, które jej tam przyrodzenie podaje, do najwyższego stopnia wezbrana, rzuca się tu u stóp naszych, z niesłychanym impetem, na owe trzy granitowe olbrzymy, które z jej wściekłości naigrawać się zdają; wody się dzielą, a w przepaść wpadając, naśladują najstraszliwsze łoskoty i huki. Ryk lwa, zwałisk runienie i trzask gromu, z czarnęj





**Uldaryk Schönberger (ślepy professor.)**

wylatującego chmury, razem połączone, mogłyby może tylko jakiekolwiek o przerażającym huku tej katarakty dać wyobrażenie. Nic już więcj dodać nie jestem zdolna, bo tam, gdzie się przed dziełem Twórcy Boga ręki korzyć tylko trzeba, wszelkie wyobraźni natchnienie, jest tak znikome, że ani myśli zebrać, ani jęj wyrazami oddać niepodobna. Pewien garncarz w tej okolicy miał wydać arcydzieło swego jeniusza, wyobraziwszy z gliny doskonałe naśladowanie skał i kamieni, w korycie Renu sławny wodospad tworzących, równie jak i otaczające go zabudowania i drzewa. Butelka wody, między te gliniane korytka wlana, uskutecznia, jak mi mówiono, tę parodję wodospadu z zadziwiającym wyrazem i prawdą; o czém ciekawi, za pewną opłatą, łatwo się przekonać mogą. Bardzo sobie winszuję, żem tego dzieciniego bawidelka nie widziała; jakaż to szkoda, zepsuć sobie, czyli przerwać tak niegodną wielkości oryginału kopją, wzniósł pomysł, które nawet w najzimniejszej duszy na widok tak zadziwiający powstają.

Wodospad Szaфуzy był już nazajutrz takim odemnie, ale krótki bieg życia, do przebycia mi pozostający, odtąd jego pamiętką umiłowaną będzie, i obok rzadkich wspomnień o szczęśliwym dokonanym pomysle, lub jakim użytecznym dopiętym celu, w pamięci mojej pozostanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

### Ślepy professor.

Bywają przykłady szczególnej pracowitości zamiłowania nauki; ludzie, podobne przymiot mający, umieją przełamywać wszelkie zapory jakie im los i sama natura stawia, i zawstydzają szczęśliwiej obdarzonych. Do tego chlubnego rzędu policzyć należy Uldaryka Schönbergera. Urodził on się 1. Grudnia 1601 roku. Ojciec jego był krawcem i obywatelem miast Weydy, w północnych Prusach. — Gdy miał półtrzecia roku, dostał tak zjadliwej ospy, i wyżarła mu zupełnie oba oczy, i na zawsze został pozbawionym wzroku. — Strapieni nieszczę-



ściem t $\acute{e}$ m rodzice, pewni b $\acute{e}$ d $\acute{a}$ c, że ju $\acute{z}$  nigdy nic z ich syna nie b $\acute{e}$ dzie, trzymali go w domu a $\acute{z}$  do lat jedenastu; gdy jednak chlopeczyk na-  
dził si $\acute{e}$  bardzo, zaczął go ojciec poselać do  
szkoły miejscowej, nie dla tego, żeby si $\acute{e}$  czego  
nauczył, ale żeby czas swój mi $\acute{e}$ lej p $\acute{e$ dził. —  
Tymczasem ta okoliczność wykryła w m $\acute{o$ ldym  
Schönbergerze jeniusz prawdziwy. Nauki  
dawane w szkole, w miejscu wzroku myśl $\acute{a}$  po-  
zerał; a c $\acute{e}$ m pismo było dla drugich, t $\acute{e}$ m jemu  
stała si $\acute{e}$  nadzwyczajna pami $\acute{e}$ ć. Przysz $\acute{e}$ dszy  
do domu, wszystko, co w szkole usłysz $\acute{a}$ ł, co do  
słowa powtarzał, a zastanawiał si $\acute{e}$  nad ka $\acute{z$ d $\acute{a}$   
rzeczą. — Widząc to ojciec, pomagać mu zaczął,  
bo chocia $\acute{z}$  rzemieślnik, umiał po łacinie, był  
biegły w materii religijnej, i lubił bardzo ksi $\acute{a$ żki,  
które skupował, ile m $\acute{o$ gł. — Gdy jednak  
Uldaryk pojał i spami $\acute{e}$ tał to wszystko, czego  
w rodzinnej szkole i w domu ojcowskim nauczył  
si $\acute{e}$  można było, oddali go rodzice w r. 1619  
do Salzbach: aby tam w gimnazjum ksi $\acute{a$ ż $\acute{e}$ -  
c $\acute{e}$ m doskonalil si $\acute{e}$  w pomyślnie rozpocz $\acute{e$ tych  
naukach. Wnet stał si $\acute{e}$  najznakomitszym uc-  
niem t $\acute{e}$ j szkoły, a p $\acute{o$ źniej przechodząc do coraz  
wy $\acute{z$ szych, w roku 1624 otrzymał w akademii  
lipskiej pierwszą filozofii nagrodę, a w roku nast $\acute{e$ -  
pującym stopie $\acute{n}$  magistra z znamienit $\acute{a}$  pochwałą.  
Wkr $\acute{o$ ćce pot $\acute{e}$ m odbył sławn $\acute{a}$  publiczn $\acute{a}$  dysputę.  
W nast $\acute{e$ pn $\acute{y}$ ch latach odwiedził akademi $\acute{a}$  w Ko-  
penhadze, a przez długi czas w Holsztynie i  
w Hamburgu był znakomit $\acute{y}$ m nauczycielem m $\acute{o$ -  
ldzieży. Roku 1645 przybył do Kr $\acute{o$ lewca i  
otrzymał katedrę profesora, którą ju $\acute{z}$  do śmierci  
zachował.

Trudno pojać, jak m $\acute{o$ gł dojść bez pomocy  
oczu do tak obszern $\acute{e}$ j i gł $\acute{e}$ bokiej nauki. Umiał,  
pr $\acute{o$ ćz ojczystego, sześć j $\acute{e}$ zyków; grecki, łaciński,  
hebrajski, chaldejski, arabski, francuzki; a umiał  
je tak dobrze, i $\acute{z}$  nie tylko ka $\acute{z$ d $\acute{a}$  rozumiał ksi $\acute{a$ żkę  
i m $\acute{o$ wić w razie potrafił, ale i uczył wybornie  
drugich. W dysputach teologicznych u $\acute{z$ ywał  
cytacyi biblij, a to powtarzając text oryginału i  
tł $\acute{o$ maczenia z zacytowaniem wiersza; znaki pisar-  
skie pami $\acute{e}$ tał nawet jak najdokładniej. Filo-  
zoficzne i metafizyczne wiadomości, jego były  
zadziwiające. Był doktorem fizyki, matematyki  
i arytmetyki; ale co najcudowniejszego w nim  
uważano, zasady optyki zgadywał, i rozumował  
o ni $\acute{e}$ j trafniej od wielu widzających. Co mniej  
dziwne i wielu ślepym ju $\acute{z}$  wsp $\acute{o$ lne, lubił bardzo  
muzykę i znał ją praktycznie i teoretycznie;  
sporządził nawet nowy instrument, rodzaj orga-  
n $\acute{o$ w z fletami drewnianymi. — Nie żył zbyt  
długo, umarł 1649 roku w Kr $\acute{o$ lewcu, mając lat  
47 i miesi $\acute{e$ cy pięć.

K. T. H.

Poeta powinien być filozofem.

(Dok $\acute{o$ nczenie.)

Lord Bajron, ten silny, pot $\acute{e$ żny, lecz dziko  
nami $\acute{e}$ tny geniusz, zaszczerpił u nas ślepych jego  
naśladowc $\acute{o$ w, niech $\acute{e}$ ć przeciw wszelkiej krwa-  
wym pot $\acute{e$ m nabywan $\acute{e}$ j nauce, a zt $\acute{a}$ d t $\acute{e}$ m łatwiej  
naklonił do pogardzania religią. Żywo czujący  
m $\acute{o$ ldzieniec Sarmacyi porzucił natychmiast za-  
pleśniałe xięgi, szydził z tych wszystkich, co  
nad nimi s $\acute{l}$ ęcząc, szukali prawdy. W dzikim  
zapale cisnął si $\acute{e}$  w świ $\acute{a$ t; niełagodzone zimn $\acute{a}$   
rozwa $\acute{g$ a uczucia, zamieniły si $\acute{e}$  wkr $\acute{o$ ćce w dziki  
orkan nami $\acute{e$ tności, który [si $\acute{e}$  w jego pieniach  
wytl $\acute{a$ czał na papier. Ten dziki hymn, przyjęty  
od fanatycznej publiczności z uniesieniem, okla-  
skami, był bodźcem do nowych p $\acute{o$ dobnych two-  
r $\acute{o$ w; otruił wszystkich innych, którzy w jego  
ślady natychmiast ślepo si $\acute{e}$  rzucali. Zt $\acute{a}$ d powstały  
wszystkie owe hymny rozpacznie nieszcz $\acute{e$ śliwych  
kochank $\acute{o$ w, zt $\acute{a}$ d owe dzikie kł $\acute{a$ twy, rzucone na  
świ $\acute{a$ t materyalny, zt $\acute{a}$ d ub $\acute{o$ stwiani zbrodniarze,  
zbrodniarki, zt $\acute{a}$ d owe powtarzane u nas mi $\acute{o$ łostki  
Bajronowskie, które cho $\acute{c}$ by w jak najcudniejsze  
przybrane były kwiaty, w obliczu m $\acute{e$ drca, który  
całe dobro ludzkości ma na celu, s $\acute{a}$  nicnym  
wyst $\acute{e$ pkiem przeciw cnocie! I takie to poezye  
miały kształci $\acute{e}$ ć, posuwać naprz $\acute{o$ d nar $\acute{o$ d? Takie  
to utwory w coraz nowsze rzucać go sfery, do  
coraz wy $\acute{z$ szej zbliżające doskonałości? Takie  
wreszcie dzieła, coraz gł $\acute{e$ b $\acute{z$ sze, z tajników zacie-  
kającego si $\acute{e}$  w łono prawdy ducha, ogłaszać i  
w sercach ludu zaszczerpieć idee? Niestety!  
otr $\acute{a$ śnijmy te tak obfite kwiaty, a zostaną  
fałszywe, lub niskie częstokroć tylko myśli!  
Zk $\acute{a$ dz $\acute{e}$ ż je t $\acute{e}$ ż miała brać dusza tego wieszcz $\acute{a}$ ,  
co pogardził prawdziwą m $\acute{a$ drością, która nie  
sama przychodzi, lecz krwaw $\acute{a}$ , ciężką prac $\acute{a}$   
okupywana być powinna. Cokolwiek dawniej  
zwr $\acute{o$ ciłem uwagę wieszcz $\acute{o$ w naszych na naro-  
dow $\acute{a}$  poezy $\acute{a}$ , nie myśląc przecie $\acute{z}$  nigdy na t $\acute{e}$ ję  
tylko ograniczać ich zawodu. Bo polem poety  
jest cały świ $\acute{a$ t; zadaniem: lub historyczne z gro-  
b $\acute{o$ w przeszłości wskrzeszać obrazy, lub gł $\acute{e$ bokie  
prawdy własnego namysłu w zmysłowych kształ-  
tach ludzkości objawiać. Tu zadanie naznaczam  
poezyi za jedyne. Co do historyi, kt $\acute{o$ ż nam do-  
kładniejsze wd $\acute{o$ różyć mo $\acute{z$ e wyobrażenie o zga-  
słych od dawna czasach, czy suchy opowiadacz  
wypadk $\acute{o$ w, historyk; czy t $\acute{e}$ ż ten wieszcz, który  
te martwo przed naszą dusz $\acute{a}$  le $\acute{z$ ące kształty,  
prowoła do zycia, i to zmarłe życie rozśloni  
przed naszą wyobraźni $\acute{a}$ ? Co do drugiego punktu,  
kt $\acute{o$ ż łatwiej posłuchanym, a wi $\acute{e$ c kt $\acute{o$ ż ł $\acute{a$ ćniej  
pouczyć, now $\acute{a}$  wielką prawdę zaszczerpieć mo $\acute{z$ e  
w sercach narodu; czy uczono, ciemno, często-  
kroć sucho objawiający ją filozof; czy  $\acute{o$ w poeta,  
który ją w zmysłowej ujmującej formie, w dra-  
macie przedstawia? Nie jeden, co na czytaniu  
historyi starych Grek $\acute{o$ w zgryził zęby, nie pojał  
tak ich ducha charakteru, nie poznał tak jasno



różnicy starożytnego i chrześcijańskiego świata, jak ów, co nie znając nawet Tacytów, Xenofontów, przeczyta Ifigenię Götego! Niejeden strawił znaczną część zawodu swego na badaniach idei przyjaźni; a jednak tego nie schwycił wyobrażenia o niej, jakie lichy częstokroć beletrysta, który tylko raz przeczytał piękną balladę Szylłera: die Bürgschaft. Wracając atoli do punktu, z którego wyszedłem, powiadam, że dla tego żądam podziśdzień narodowej poezyi, że, nim szukać będziem obrazów życia przeszłego obcych ludów, powinniśmy wprzód dokładnie poznać naszą, dotąd nam obcą starożytność. Bez filozoficznego, obserwacyjnego ducha, nie zdołamy utworzyć historycznego obrazu, nie potrafimy się przejąć duchem zgasłych, chociaż naszych, czasów; bez tego usposobienia bowiem nie podobna uchwycić ważnych, celnych historyi momentów, których zwieżęle stłoczenie w jeden obraz, rozrzuci światła na cały wiek. O to się więc starać powinni koniecznie młodzi wieszczowie nasi, jeżeli chcą żyć nieśmiertelni w sercach współziomków, w sercach ludzkości, w sercach mędrków! Nie zaś wspak postępując, wyklinać naukę, głębokie badania, filozofią, bez której poety egzystencya, imię, zbyt krótko trwałe. Ale mniejsza o imię, ich obowiązek członka narodu, ludzkość, sumienie wreszcie tego powinny zapalać do prawego działania. I jaby ubóstwiać zidealizowanych zbrodniarzy, zbrodniarki, gdyby tendencya całego dzieła była szlachetną, gdyby autor jego obrzydzić, ale nie uwielbiać zamysłał to, czego prawe serce, rozum nigdy usprawiedliwiać nie będzie. Dla tej przyczyny grzmia przeciw Bajronowi, który, gdyby był wyprowadzając na scenę żyjących kiedyś na widowni świata zbrodniarzy, historyczne przez to wystawiał obrazy, kładłbym go obok Szekspira; że zaś jego bohaterowie niczem inszem nie są, jak tylko upostacyonami wyrobami dzikiej, namiętnej, wszystko święte targającej duszy, powiadam raz jeszcze, że naśladowanie tak wykrzywionej tendencyi silnego ducha, jest podziśdzień szaleństwem! Cnotę i jej tryumf powinien mieć każdy autor na celu, jeśli chce godnie siebie działać, jeśli ludzkość kształcić, a nie gubić, w zamęt zepsucia wypychać zamysła. Niech rzekną, co chcą, gęrej dusze, niechaj zagrzmia całym orkanem namiętności przeciw mnie, ja ani kroku nie ustąpię! Gadawiny, jakoby było szaleństwem naginać rozpaczającą duszę poety do źródła czystych, nie namiętnych uczuć, są nieczem; gdzie chodzi o dobro ogółu. Jeśli nie możecie ugasić palącego żaru namiętności, szukajcie w historyi charakterów namiętnych, przez których usta wytłuczycie wulkan własnego serca, zrzucając z niego ten ciężar, tak srogo tłoczący; a tak nie wykraczając przeciw cnotcie, dogodzicie sobie. To tylko usprawiedliwić może tę słabość, co się nad siebie wynieść niemoże. Jakbyście bowiem nazwali tego, który, zawołany trąbą wojenną w szyki ojczyzny, nie zdołał poświęcić ogólnej

sprawie boleści żalu, jakeimi wstrząsa jego duszę okrepne pożegnanie z rodzicami, przyjaciółmi, kochanką nad życie mu miłą?

Te kilka uwag przyjmijcie łaskawie wieszczowie nasi, którym tak łatwo opanować serca narodu, w których dłoni częstokroć lub szczęście, lub zguba tegoż, bo wy jego duszą władacie.

A więc, jeśli kto, poeta powinien być filozofem!

---

Do K. L., towarzyszkii lat dziecińczych.  
(Na predee pisano.)

O! posłuchaj... rozpomnij owe błogie lata!  
Byliśmy blisko siebie, a byliśmy dziećmi;  
Lecz już dziećmi byliśmy nie dla tego świata!  
Każda inna w twych latach, twoja rówieśnica,  
Stroi lalki, ubiera, z kart im domki kleci,  
Kocha się w nich jak dziecko, i z niemi się swata;  
Tyś już wtedy kochała, jak rzęsa dziewica,  
Tyś już wtedy... ach! przebóg! gniew w twém oku  
świeci  
I uśmiech z twych różanych usteczek ulata,  
I chmurzy się twe czoło i rumienią lica!...  
Ach! przebacz... jam zapomniał, że tu jest ktoś trzeci;  
Więc powiem: tyś kochała, jak siostrzyczka brata,  
Tyś kochała... ach! żądasz, będzie tajemnicą!...

---

Do mędrków.

O mędrki! czém jest wasza potęga i siła!  
O mędrki! wam tak mądrość czoła wyświeciła,  
Że jak słońca błyszczycie z horyzontu świata,  
I zbiegacie świat ciemny jasnym słońca kręgiem!  
Wy słońca od poziomu wysoko, daleko!  
Głos płaczącej ludzkości ku wam nie dolata;  
Na chmury, burze, jasną patrzycie powieką,  
Z uśmiechem na ofiarą rozpaczycie istotę!  
A rozprawiacie wiele nad cnoty rozprzegiem,  
I klniecie niedołęstwo ludzkie i ślepotę;  
A jesteście jak słońca nad poziomem ziemi!  
Kto na nie z dołu spojrzy wolném, własném okiem,  
Temu się dzienny, jasny blask życia zaciemi,  
I wzrok jego się schmarzy czarnym mgły obłokiem;  
I na wszystko pogląda przez tę czarną chmurę,  
I wszystko przez nią widzi czarne i ponure!

---

W imionniku współziomki  
przed odjazdem.

Do zobaczenia! Bóg daj w... anach!  
Po tylu latach, po tylu zmianach,  
Wracać do kraju, gdzie się rodziło,  
Gdzie tylu wiernych przyjaciół było,  
I znaleźć tylko przedmiot żaloby,  
Puste ich domy, lub świeże groby,  
I żyć tam obcym, gdzie z najmiłszymi  
Przeszły najmiłsze chwile na ziemi!  
Gorzkie to myśli, i wam jedynie,  
Twemu domowi, twojej rodzinie,  
Winienem może, że nad ich mrokiem,  
Lepsza myśl tęcza błysnie przed okiem!  
Bo w was znów widzę, o czém już prawie  
Byłem zapomniał marzyć na jawie,  
Naszą domowość, naszą rodzinność,  
Litewską szczerłość, polską gościnność;  
Których niestety! w własnym już domu  
Rzadko się zdarzy napotkać komu;  
Których napróżno przez długie lata  
Szukałem, błądząc po krajach świata:  
A z których tylko dziś się uśmiecha,  
Gdy nie już szczęście — to choć pociecha.



## Z Götheho.

Usta w usta, dłoń do dłoni!  
Dziewcze wiernie chowaj śluby.  
I bądź zdrowa! — bo twój luby  
Jeszcze wiele stron przegoni.  
Lecz, gdy minie zła przygoda,  
A zdrów nazad się ukaże,  
Niech go Pan Bóg ciężko skarże,  
Jeśli ręki ci nie poda.

Rto nieważy, ten nie niema,  
Śmiały zawód bliski końca,  
Gwiazdy świecą mi jak słońca;  
Ciemność tchórzów w domu trzyma!  
Gnuśnieć z tobą, już mnie drażni,  
W domu tęskną miałbym dusze,  
A we świata zawierusze,  
W imię twoje działam raźniej!

I dolinę już znachodzę,  
Gdzie dłoń za dłoń, razem z tobą,  
W jasny wieczór, późną dobą  
Nad strumieniem kiedyś chodzę,  
Już z topoli pachnie liście,  
Już i buki stoją w rzędzie,  
A wszak za tem wszystkiem będzie,  
I do naszej chatki wnieście.  
Drezno 1836.

E. B.

## W imienniku Maryi Z.

Szczęśliwa droga w progi rodzinne!  
Z matką do ojca, szczęśliwa droga!  
W kim tak, jak w tobie serce niewinne,  
Z tym pójdzie wszędzie opieka Boga.

W kim szczerość uczuć prosta, dziewicza.  
Co w każdym dobrym przychyłność budzi,  
Technie tak, jak w tobie z ust i oblicza,  
Ten spotka wszędzie życzliwość ludzi.

Szczęśliwy bogacz skarby takimi,  
Rto wie jak cenić, jak strzedz je trzeba!  
W czystości serca — światło na ziemi,  
W prostocie serca — droga do nieba.

Precz więc od ciebie czyż pozór sztuki,  
Coby wzrok tylko gminu zaślepił,  
Precz tłumny nawal zimnej nauki,  
Coby zgniłłł czucie, co Bóg zaszczerpił.

Ucz się — lecz w własnej ćwicząc rozgadze,  
W nauce znajdziesz szczęścia krynięć;  
Gdy nią pokrzepisz duszy swęj władze,  
Rozwiniesz cnoty ludzkie — kobięce.

Ucz się znać Boga, prawdę i siebie;  
Pomnij, że w Bogu masz spraw swych świadka.  
Wzór twój niech będzie Patronka w niebie,  
Twa przewodniczka na ziemi matka.

## Obrona Olsztyna.

(Wspomnienie narodowe z XVIgo wieku.) Virgil.  
*Una salus victis, nullam sperare salutem.*  
I.

Nikną po mału płaszczyzny wielkopolskie:  
jakby po szczeblach wstępuje się na ziemię  
krakowską. Pagórki ocienione lasami, gdzie-  
niegdzie strome skały, zamykają co chwila wi-  
duokrag, drażnią wyobraźnię, i o wiele większa  
budzi się rokosz, gdy nagle, jakby czarodziej-  
ską stworzone laską, odkrywają się widoki,  
pełne wdzięków hojnej natury. Oko zewsząd  
ograniczone, nie gubi się bez spoczynku w młym  
horyzoncie, jak na płaszczyznach; oddech niby  
ścięśniony co do przestrzeni, ale prędzej się  
bieży, bo zawsze przed nami, lub przeszkoda  
do zwalczenia, lub też cel całej już wędrówki.

Na skalistej górze z tego przedmurza, co  
jak fale rozhukanego morza toczy się w coraz  
większych zakresach ku olbrzymim Tatrom,  
wznoszą się mury Olsztyna. Któryż Polak nie  
uczul głębokiego wzruszenia na samo to imię,  
a jakżeż serce bić musi na widok tego czar-  
nego, rozpadłego zamczyska, co tworząc szczyt  
kamienisty, lasem zwieńczonej góry, zdaje się  
jedną z nią całość tworzyć i być początkiem  
zniszczenia całego ogromu. Nie badajmy, kiedy  
i komu zawdzięczamy ten zamek; szczytki jego  
czcżą napawają wędrowca; bo któż zliczy dnie  
jego chwały, kto ilość szturmów, co odparł ka-  
mienną swą pierś, kto powtórzy w jednym  
akkordzie wszystkie hymny zwycięstw, co w  
zamkowej brzmiały kaplicy; wreszcie, kto go-  
dnie uczci imiona poległych za wiarę i ojczyznę,  
których waleczne duchy zśród tych murów  
w niebo uleciały?

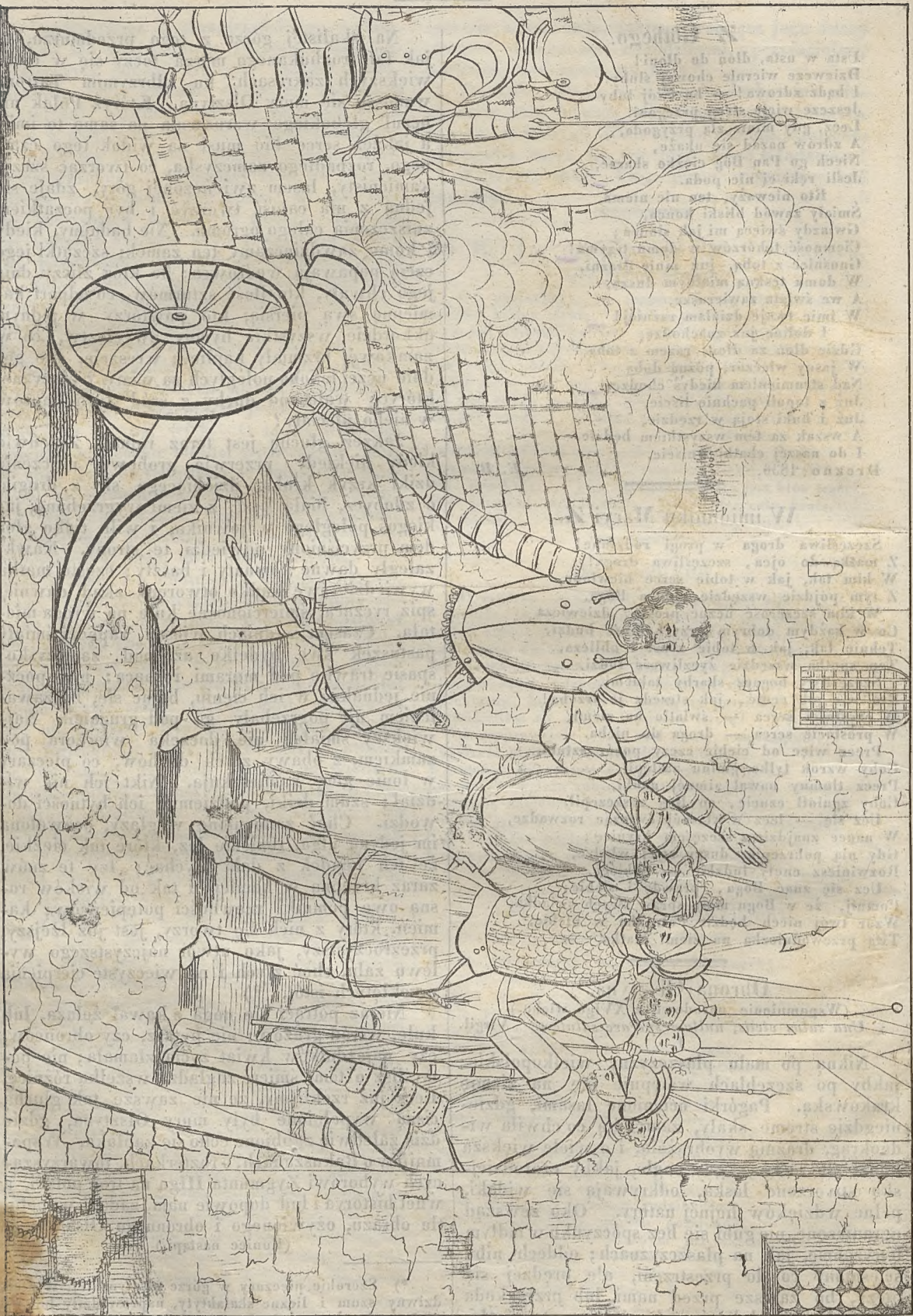
Jakżeż głuchą jest teraz ruina! Zaledwie  
kiedy niekiedy przerwie grobowe milczenie  
dziki krzyk kruka, dziobiącego się z drugim  
o zdobycz, białą kość, z ziemi wygrzebaną, ja-  
kiegś poległego wojownika, i wilk tylko głodem  
przyściśniony odwiedzi te strony. Kawki  
zaległy dawne komnaty i baszty; często matka  
wywiedzie swe stadko otworem, z kąd dawniej  
spiż rycząca, śmiercionośne kule na wroga mio-  
tała. Czasem w dniach wiosny, zapędzi śmiały  
pastuszek swe bydelko aż pod zamczysko;  
spasie trawkę pod murami rosnącą; nie spocz-  
nie jednakże w ich cieniu, bojąc się, by zawa-  
leniem nie pogrzebały go pod gruzami. Naj-  
większy śmialek nie doczeka wieczora pod  
zamkiem, z obawy złych duchów, co pieczary  
w łonie góry zamieszkują. Nikt ich nie wi-  
dział; szum dziki, podziemny ich bytności do-  
wodzi. Choć zamienione w glazy, dozwolona  
im jedyna ulga, ronienie łez, które tak ciężkie,  
że ich upadek z dala słychać; lzy te znów  
zaraz krzepną w kamień, i tak od wieków ro-  
sną owe pomniki rzewności potępieńców; ka-  
mien, który z nich się tworzy, jest już lżejszy,  
przezroczystszy, jako utwór najczystszej wy-  
lewu żalu, choć złych i na wieczyste cierpienia  
przeklętych istot. \*)

Nieraz potraci się nogą o kawał żelaza, lub  
kulę, wśród gruzów; nie pytasz, czy obrońców,  
czy najeźdźników kwiat życia złamała; nie po-  
myślisz o tém; śmierć zagładza wszelką różnicę.  
Lecz już rzekliśmy, że nie zawsze tak głuchą  
ciszą wypełnione były mury Olsztyna, gdzie  
dziś zaledwie zombione echo się zabłaka. Wspom-  
nijmy o Rakuszanach, o rozterkach, towarzyszą-  
cych wyborowi Zygmunta IIIgo na tron polski, a  
wnet historia i lud dopowie nam, zadość wypełni-  
tło obrazu, ożywionego i obronnego Olsztyna.

(Koniec nastąpi.)

\*) Szerokie pieczary w górze olsztyńskiej, w ich  
dziwny szum i liczne skalaktyty, naprowadziły lu-  
dzi na niemiemanie, że tam duchy mieszkają i lzy ronią.





Karłiński. (Zobacz następujący Numer.)